Początek części lankijskiej wyprawy był dosyć trudny. Przylecieliśmy na tę rajską wyspę nad ranem 16.07. Odebraliśmy bagaże, które na szczęście doleciały, Andrzejek M. szybko ogarnął „wybuchniętą" konserwę, Kumar nabył drogą zakupu miejscową kartę sim, wyszliśmy z terminala i przejęła nas ekipa, która pokaże nam wyspę, wożąc z miejsca w miejsce. Przed busikiem powitano nas tacą czerwonych, włochatych rambutanów. Poczęstowaliśmy się i ruszyliśmy do pierwszego hotelu w Colombo, w którym mieliśmy pierwotnie spędzić noc, a ostatecznie weszliśmy tam tylko na trzy godziny, żeby wziąć prysznic, zdrzemnąć się i zjeść śniadanie. Mnie ten hotel będzie się kojarzył z drzwiami, bo najpierw chciałam wejść na piętro przez zamknięte oszklone skrzydło, a potem, kiedy byłam pod prysznicem i chciałam zamknąć kabinę jedna jej część, zresztą dość ciężka, przygniotła mnie namydloną do mokrych kafelków. Na szczęście te drzwi się nie rozpadły, ale lekko zaskoczona obrotem spraw, stałam tak mokra i goła jak święty turecki i zastanawiałam się co zrobić. Ostatecznie oparłam to ustrojstwo o kabinę i ścianę, spłukałam mydełko Fa i wszczęłam alarm techniczny. Grace wykąpała się już spokojnie i godnie. Na śniadanie były jaja, kiełbaski i owoce. Amen. I takie śniadania będą tu pewnie codziennie. Byłam już na Lance i doświadczyłam. A po posiłku ruszyliśmy w kierunku Galle, robiąc przystanki to tu to tam. Nasz przewodnik najpierw zaordynował postój przy przydrożnym kramie z owocami, żeby wyprawowicze popróbowali miejscowych frykasów. Sprzedawca rozłupał maczetą orzechy kokosowe dla każdego z nas, z których wypiliśmy zawartość i wydłubaliśmy biały miąższ, ale pożarliśmy też inne egzotyczne owoce. Młodym chyba najbardziej zasmakowały mangostany, niezwykle soczyste tu ananasy i wspomniane wcześniej rambutany. Po tej degustacji ruszyliśmy dalej. Drugi przystanek zaliczyliśmy przy ośrodku „See Life Sea", w którym jest wylęgarnia żółwi, a stare i poranione przez rekiny czy śruby łodzi motorowych egzemplarze tego gatunku mogą doczekać momentu przejścia za tęczowy most. Były też tam i kolorowe dziwaczne rybki w wielkich akwariach, ale takie rzeczy możemy obejrzeć i w naszych ogrodach zoologicznych. Żółwie, zwłaszcza te maluchy dopiero co wyklute z jaj, to był sztos. I znowu ruszyliśmy w drogę… nasz przewodnik zawiózł nas do miejsca, w którym przesiedliśmy się na łódź i popłynęliśmy na wodne safari. Wypatrzyliśmy zimorodki siedzące na gałęziach drzew, podziwialiśmy namorzyny tworzące tunele, w końcu wyszliśmy na brzeg, by posłuchać o tym, jak pozyskuje się cynamon, napić i naparu cynamonowego i zaliczyć fish massage. To ostatnie przeżyłam już chyba ze dwa razy w Tajlandii, więc tu też liczyłam, że rybki będą milusio łaskotać moje stopy. I się przeliczyłam. Do basenów z rybkami pierwsi doszli młodzi, którzy wsadzili w nie utrudzone szłapki i zaczęli wydawać dziwne dźwięki – od chichotu począwszy po wrzaski typu „coś mnie mocno użarło". Bo żarło. Kiedy z Grace zanurzyłyśmy stopy w wodzie nieduże kolorowe bestie zaczęły nas poszczypywać, podjadać, dziabać w pięty, palce i podeszwy. Masakra. Nawet dzielny harcerz Andrzej M. darł się jakby go zaatakował rekin. Podziwiałam tych, którzy to wytrzymywali. Taka Tosia M.… chyba nie ma dziewczyna unerwionych kończyn. Po tej „przyjemności" znowu zapakowaliśmy się do łodzi i przepłynęliśmy może 200 metrów kiedy dotarł do nas siedzących z przodu jęk rozpaczy z tyłu łódki. Do wody wpadł telefon Marcelka. Myślałyśmy z Grace, że ktoś zażartował dopóki nie zobaczyłyśmy bezradnie zaglądającego w wodę chłopaka. Woda w tym miejscu, w którym wypadł z rąk Marcelka telefon była głęboka na 4 metry i mętna od mułu. Nastroje w grupie zdecydowanie obniżyły loty. Dyrektor pogadał z nieszczęśnikiem, który stracił narzędzie kontaktu ze światem i jednocześnie aparat fotograficzny. I młodemu dobrze ta rozmowa zrobiła, bo już w lepszym nastroju pojechaliśmy do Muzeum Masek, a potem do Muzeum Tsunami. W pierwszym z nich

wyprawowicze poczynili pierwsze zakupy, ostro negocjując ceny ze sprzedawcami. Podejrzewam, że za kilka tygodni w 22 domach na ścianach zawisną kolorowe „uszate" lankijskie maski. A pod koniec dnia zrobiło się bardzo poważnie, dojechaliśmy bowiem do Galle – miasteczka, które bardzo ucierpiało w 2004 roku wskutek tsunami. W Muzeum Tsunami nie tylko zobaczyliśmy wstrząsające zdjęcia, które powstały tuż po kataklizmie, a dokumentujące ogrom jego ofiar i strat. Wytłumaczono nam również jak powstają fale tsunami i w których częściach świata występuje to zjawisko. W budynku obok muzeum obejrzeliśmy natomiast jeden z wagonów pociągu, kursującego na trasie Colombo – Galle, w który uderzyło tsunami. Poruszeni podjechaliśmy jeszcze pod monument poświęcony ofiarom tamtych zdarzeń i pomknęliśmy do Unawatuny, do hotelu Ceylon Heart, który z ulicy nie wyglądał może zbyt zachęcająco, ale jak tylko weszliśmy do środka okazało się, że jest mega klimatyczny, a z jego restauracji po trzech drewnianych schodkach można wyjść na plażę. Oczywiście korzystaliśmy z tej możliwości, głównie brodząc w ciepłych wodach zatoczki. Ale naszym głównym celem w Galle było odwiedzić szkołę, którą uczestnicy wyprawy z 2005 roku pomagali odbudowywać po tsunami. Szkołę też wsparli finansowo nauczyciele Słowaka, którzy dotarli tu w 2013 roku. Tegoroczni wyprawowicze przywieźli do Galle mnóstwo odpowiednio dobranych podręczników do nauki języka angielskiego. Niestety, nie mogliśmy się dodzwonić do tej szkoły przed wyprawą, bo na stronach internetowych związanych ze szkołą był numer telefonu, który okazał się nieaktualny. Adresu mailowego nie znaleźliśmy. Cóż… pojechaliśmy więc w ciemno i niezapowiedziani.

Szkoła w Galle jest, działa, a nas powitano szerokimi uśmiechami. Książki złożyliśmy, ułożone poziomami nauczania, na stołach w bibliotece szkolnej. Tam też wypatrzyliśmy dowody naszej wcześniejszej tu bytności, czyli „wlepy" wypraw słowakowych i wpisy do księgi gości. Teraz też Grace udokumentowała naszą wizytę kilkoma zdaniami we wspomnianej książce. A potem były spotkania z uczniami szkoły i ich nauczycielami, zabawy na boisku szkolnym oraz mecze piłki nożnej Polacy – Lankijczycy, które nasi przegrali. Niestety, nawet grając z młodszymi… ale czysto i głośno odśpiewali słynny song „Polacy, nic się nie stało". Na ich usprawiedliwienie dodam, że lankijscy uczniowie mają więcej wprawy w grze na bosaka. A potem był poczęstunek, herbatka i występy naprędce przygotowane przez nauczycielki i dzieciaki z Kannangara College dla niespodziewanych gości. Uczniowie szkoły w Galle zaprezentowali nam tradycyjne lankijskie tańce i pieśni, a potem wyprawowicze odśpiewali „Testament mój" i „Happy Birthday" dla profesora Tadeusza Rzepieli, który tego dnia obchodził 80te urodziny.

A ja odnalazłam w szkole w Galle swoją imienniczkę – malutką, siedmioletnia, słodką dziewczynkę. Bo tutejsze dzieciaki oczywiście były bardzo zaciekawione kim jesteśmy i jak mamy na imię. A kiedy usłyszały, że nazywam się Sabina, krzyknęły „wait, wait!" i po chwili przyciągnęły do mnie tego bąbla – Sabinkę. Natomiast nieco od niej starsze koleżanki, otoczyły mnie wianuszkiem i zarumienione zaczęły wskazywać na Szymona I., szepcząc: masz pięknego brata. „To nie mój brat, to uczeń" wyjaśniłam. " Ale jest piękny" usłyszałam… Przywołałam więc Szymka i wtedy się zaczęło – chłopak pozował do zdjęć z każdą z osobna, a małe podrywaczki ustawiały się do zdjęć, układając rączki tak, by powstało serduszko. Jak jednej zawiązałam rozwiązaną wstążeczkę na warkoczyku, to zaraz kilka innych szarpało swoje kokardki i musiałam wiązać… Małe słodkie spryciary. Po tak spędzonym przedpołudniu, wróciliśmy do hotelu, żeby się przebrać, odświeżyć, chwilę odsapnąć przed

planowaną na popołudnie wycieczką do starego centrum Galle. Po urokliwej starówce oprowadziła nas przygotowana do tego Zosia Sz. Zobaczyliśmy mury starego fortu, obiekty sakralne, latarnię morską, a potem była chwila na eksplorowanie miasta w podgrupach (my opiekunowie poszliśmy na pyszną herbatkę serwowaną w drewnianych filiżankach) i powrót do hotelu.